

Forum | Tezy

LAMA OLE NYDAHL O tym, jak osiągnąć szczęście, mówi buddyjski nauczyciel w rozmowie z Marcinem Mindykowskim

Co robić, zanim zostaniemy buddą

Lubi Pan powtarzać, że buddyzm Diamentowej Drogi jest jak diament – odbija kolor otoczenia, nie tracąc jednak nic ze swojej esencji i blasku. Jaki w takim razie jest polski buddyzm? Najłatwiej byłoby powiedzieć, że tęczy. Ale myślę, że polski buddyzm jest koloru czerwonego – oczywiście nie w sensie politycznym, ale emocjonalnym. To kolor krwi: symbolizuje głębokie uczucia, nadzieje i idealizm. Buddyzm jest najlepszym diamentem ze wszystkich religii, dlatego że zawiera w sobie wszystko, czego oczekują od swojego życia ludzie, którzy chcą uczynić je ważnym. W Polsce i w innych częściach Europy przyciągamy coraz więcej osób, ponieważ jesteśmy religią doświadczoną. Ludzie dostają od nas komunikat, żeby sami czegoś doświadczali, a nie tylko uwierzyli na słowo.

W Polsce potrzeba wiary w wyższą siłę, która ingeruje w nasze życie, jest jednak silna. Czy trudno szerzyć więc tutaj buddyzm, który jest raczej pragmatyczny i skupia się na relacjach wewnątrz- i międzyludzkich?

W Europie jest naprawdę wielu buddystów, więcej niż w innych miejscach na świecie. Najwięcej jest nas w Niemczech, dlatego że zaczęliśmy tam nauczać wcześniej i wszystko jest świetnie zorganizowane – założyliśmy tam już 140 ośrodków. W dużo większej Rosji mamy ich około 150. Polska jest gdzieś pomiędzy tymi dwoma krajami. Kiedy potrzebuję zebrać w tydzień tysiąc osób, dzwonię do Europy. Ale kiedy potrzebuję 10 tysięcy w jeden dzień, dzwonię do Polski. Bo wiem, że jeśli będzie taka potrzeba, moi polscy przyjaciele rzucą wszystko i przyjadą ze mną pracować.

Jak został Pan buddyjskim nauczycielem – lama?

Prawdopodobnie byłem nim w poprzednim życiu, bo zawsze interesowałem się wschodnią Azją. W 1968 roku moja żona i ja po raz pierwszy pojechaliśmy do Nepalu i spędziliśmy tam cztery lata. Spotkaliśmy najbardziej ekscytujących i przekonujących lamów. Mieliśmy dużo szczęścia – wcześniej studiowaliśmy filozofię, więc nie musieliśmy zaczynać od pobytu w klasztorze i studiowania książek, tylko spędzaliśmy czas na rozmowach z tymi niezwykłymi, mądrymi joginami. Przekonali nas, że możemy się rozwijać, używając buddyjskich metod. Podczas tych spotkań nie brakowało też humoru i zabawy. Do dziś pamiętam wielkie uśmiechy na twarzach naszych nauczycieli.

W końcu XVI Karmapa, zwierzchnik tybetańskiej buddyjskiej szkoły Karma Kagyu, wybrał Pana na osobę, która będzie szerzyć buddyzm w zachodniej Europie.

Powiedzieli nam: „Sprawdźcie, czy wasi przyjaciele nie chcą nauczyć się naszych metod”. Okazało się, że chcieli – dziś mamy 620 ośrodków na całym świecie.

Regularnie je Pan odwiedza, dwa razy do roku objeżdżając cały świat. Ma Pan w ogóle dom czy przy takim trybie życia spędza Pan cały rok w podróży?

W niektórych miastach, w których regularnie bywam, mam w ośrodkach buddyjskich pokój, z którego mogę korzystać. Zawsze mogę tam wejść, przebrać się i zostawić ubrania do czasu, kiedy będę tam następnym razem. Cóż, jestem koczowniczym na pełen etat. *(śmiech)*



Ole Nydahl jest nauczycielem medytacji w szkole Karma Kagyu, jednej z czterech głównych szkół buddyzmu tybetańskiego

Zanim zainteresował się Pan buddyzmem, był Pan hippisem.

Ale nigdy nie wyglądałem jak hippis... Wcześniej przez cztery lata byłem też bokserem, uczyłem się wielu różnych rzeczy. Zawsze bardzo interesowałem się umysłem – jak wiele osób w tamtym czasie. Moja praca dyplomowa z filozofii dotyczyła Aldousa Huxleya i jego słynnych esejów – „Filozofii wieczystej”, „Drzwi percepcji”, „Nieba i piekła”. Był niezwykłym człowiekiem.

Początkowo zajmował się Pan też przemysłem narkotyków.

Na początku przemyślałem złoto. *(śmiech)* W tych eksperymentach życiowych chodziło o to, żeby poznać umysł i zobaczyć, jakie ma możliwości.

I stwierdził Pan, że buddyzm jest lepszą drogą do poznania umysłu niż środki psychoaktywne?

Tak. Nie przestałem jednak jeździć szybko motocyklami czy skakać ze spadochronem – ciągle sprawdzam więc mój stary umysł w różnych niecodziennych sytuacjach. Ale jedyną rzeczą, która daje odpowiedź na wszystkie pytania i wszystko w sobie zawiera, jest buddyzm. Nauki Diamentowej Drogi są naprawdę niesamowite.

Jak bumerang powraca pytanie: czym jest buddyzm? Religia, systemem filozoficznym?

To „ligia”, nie „re-ligia”. Łączy wszystko razem, ale nie robi tego ponownie – jak „re-ligia” [łaciński termin „religare” znaczy „łączyć, związywać coś ponownie” – red.] – bo my nigdy nie opuściliśmy raj. Często zachowujemy się jak ludzie obdarzeni dobrym wzrokiem, którzy potrafia zobaczyć wszystko dookoła, ale nigdy nie spoglądają w lustro i nie widzą własnej

twarży. Buddyzm uczy właściwego patrzenia na rzeczy. W efekcie postrzegający, samo postrzeganie i to, co jest postrzegane, stają się jednym. To stan pełnego rozwoju, doskonałości.

Z powodu łatwości w dopasowywaniu się do współczesnego świata buddyzm ma jednak wielu oponentów. Sugerują oni, że to złożona z kilku zgrabnych bon motów i uniwersalnych morałów popreligia – nie polemizuje z zachodnim, konsumenckim stylem życia ani nie kwestionuje osiągnięć nowożytnej nauki.

Naszym celem jest przynoszenie ludziom pożytku. Nie obiecujemy im jakiegos raj po śmierci, koncentrujemy się na życiu tu i teraz. I jeśli ludzie czerpią z tego korzyści, czują, że robią to, co powinienem.

I nie tracicie w ten sposób nic z oryginalnych nauk Buddy?

Budda nauczał przez 45 lat – zaczął w wieku 35 lat i dożył osiemdziesiątki. Udzielał nauk trzem rodzajom ludzi. Podstawowa tradycja była skierowana do tych, którzy chcieli przede wszystkim uniknąć cierpienia i problemów – byli to zazwyczaj mnisi lub mniszki. Tym, którzy chcieli dowiedzieć się czegoś więcej – zwykle osobom świeckim, funkcjonującym w centrum życia – udzielał nauk o motywacji przynoszenia pożytku innym i rozwijaniu współczucia i mądrości. Trzeci, najwyższy poziom to wykorzystanie pełnego potencjału umysłu. Chodzi w nim o to, żeby wszystko postrzegać na najwyższym poziomie i nigdy nie opuszczać tej czystej krainy, którą sami stwarzamy. W ten sposób osiągamy przeznaczoną nam przeszczeń szczęścia. **Rozmawiał Marcin Mindykowski**

CZYM ŻYJĄ FRANCUZI

O Jeanie Rousseau mówiącym głosem natury

Grzegorz Ignatowski

Pośród informacji o wyborach prezydenckich we Francji, o spotkaniach między Nicolasem Sarkozym a Angelą Merkel, o kłopotach finansowych Grecji znalazłem we wszystkich francuskich tygodnikach ciekawą informację o jednym z najbardziej znanych obrazów na świecie – o „Monie Lizie”, pieczołowicie przechowywanej w paryskim Luwrze. Z „Le Point”, „Le Nouvel Observateur” i z „L'Express” dowiedziałem się, że sławna Gioconda Leonarda da Vinci nie jest sama! Lepiej by zabrzmiało – nie jest jedyna.

Wielu powie: Skądże, przecież widziałem, stałem przed dziełem w Paryżu. Co w takim razie to wszystko znaczy, ile ich jest? Tygodniki oznajmiły, że paryski obraz ma siostrę bliźniaczkę, która okazuje się madrytanką. Ogromne, bogate i znane na całym świecie muzeum Prado – znajdujące się właśnie w stolicy Hiszpanii – potwierdziło, że jedno z jego dzieł, uważane dotychczas za późną replikę obrazu sławnego włoskiego renesansowego malarza, w rzeczywistości powstało w tym samym atelier co oryginał. Tak więc jeśli wolno zapytać, czy „Mona Liza” z Prado, uważana dotychczas za anonimowe dzieło, jest kolejnym obrazem samego mistrza? Nie! Naukowcy twierdzą, że dzieło, jakże podobne

do pierwowzoru, okazuje się nieznacznie młodsze. Być może namalował je uczeń Leonarda? Tajemniczy i sławny uśmiech jest jednak ten sam. Zresztą każdy, kto zechce, będzie mógł popatrzeć na oba obrazy, które od 26 marca mają być wystawione obok siebie w Paryżu. Ciekawe, co pokaże przyszłość, ile jest jeszcze tych obrazów?

Z Madrytu i Paryża pojedźmy do Genewy. Wszystko za sprawą „Le Point”. Znajdujemy w nim tekst poświęcony 300. rocznicy urodzin jednego z najbardziej znanych szwajcarskich filozofów. Wszyscy pedagogowie wiedzą, o kogo chodzi? Oczywiście jeśli wspominamy to uroczyste europejskie miasto, natychmiast na myśl przychodzi Jean-Jacques Rousseau. Słusznie, „Le Point” właśnie o nim pisze. Automatycznie powracam we wspomnieniach do Genewy. Mam przecież gdzieś zdjęcie pomnika sławnego filozofa urodzonego w szwajcarskiej stolicy. Jest w Genewie wiele innych ciekawych obiektów, a ja staję kolejny raz przed pomnikiem Rousseau. Przypomniałem sobie, że w wielu publikacjach można znaleźć informację, iż jest on znaczącą postacią dla obrońców przyrody i ruchów ekologicznych.

Wypadałoby w końcu zajrzeć do „Le Point”. W sposób prowokacyjny wyeksponowano, że niegodziwość, ekologia, sprawiedliwość społeczna jest czasem dla Rousseau. Wówczas, kiedy zaczynamy obchodzić uroczystości związane z urodzinami autora „Umowy społecznej” i „Wyznań”, należy przyznać, że filozof jest „bar-

dziej aktualny niż kiedykolwiek wcześniej”. Nie wiem, dlaczego wymieniono te właśnie dzieła. Dla mnie Rousseau jest znany z powieści „Emil”. Przedstawił w niej obraz zgodnego z naturą, a wolnego od złych wpływów wychowania. Zapyta ktoś jeszcze, dlaczego tekst we francuskim tygodniku? Odpowiedź jest prosta. Mimo że urodził się w Genewie, potem do niej wracał, to wiele lat spędził we Francji. Ale gdzie Rousseau nie był i z kim nie przebywał! Korzystając z zaproszenia znanego szkockiego filozofa Davida Hume'a, przez dwa lata mieszkał w Anglii.

Zajrzyjmy w końcu dokładniej do tygodnika. Czytamy w nim, że Jean-Jacques staje się dla nas coraz młodszy. Wczoraj – pisze „Le Point” – można było znaleźć jego obfite łzy, ironizowało się z jego współczucia. Tygodnik nie przebiera w zaskakujących formach wyrazu, aby nas zainteresować postacią filozofa. Widzimy więc, że Rousseau to superstar. Obchody rocznicy jego urodzin nie są tylko wspomnieniem, lecz potężnym tsunami. Pewnie byłby takim dzisiaj ze swoimi poglądami, skoro cywilizacja jest dla niego niedorzecznością. Na pewno spotyka ciągle swoich zwolenników. Czytam dalej, że Rousseau jest filozofem równości. Owszem, jest. Ale był też myślicielem, który przekonywał, że dobro możemy znaleźć wyłącznie w naturze, w powrocie do stanu pierwotnego. Zapewne z tego powodu nie tolerował żadnego z filozofów, jak wspomina „Le Point”, którzy ogłaszają prawdy rzekomo



uniwersalne, wzbogacali się na niesprawiedliwości społecznej, na władzy.

Nie wiem natomiast, czy znajdzie wielu zwolenników, głosząc niechęć wobec rozmowych dociekań, przekonując, że we wszystkich poczynaniach należy kierować się uczuciem. Temu właśnie zagadnieniu tygodnik poświęca stosunkowo wiele uwagi. Przypomina, że Szwajcar oddzielił postęp nauki od postępu moralnego. Twierdzono przez wieki – czytam dalej – że jedno idzie parze z drugim. Mianowicie, mając więcej wiedzy, ludzie stają się lepsi. Rousseau – wbrew temu wszystkiemu – odkrywa problemy, z którymi ciągle się borykamy. Więcej wiedzy niekoniecznie sprawia, że stajemy się bardziej ludzcy, nauka nie jest bardziej humanitarna, nie jest mniej barbarzyńska. Dla filozofa uczucie staje się najważniejsze. Bowiem jedna rzecz to rozum, a inna to serce. Rousseau mówi: „Jestem moim sercem”. Ciągłe – gdy inni filozofowie mówią, że człowiek to byt rozumny, świadomy, że jest ciałem i duszą – Rousseau powtarza, że serce jest miejscem, gdzie mówimy po prostu głosem natury. Tam właśnie daje się usłyszeć natychmiast czyste słowo spontanicznych emocji. Nawet jeśli niejednemu z nas daleko do poglądów Szwajcara, to czasami warto się nad nimi zastanowić. Dobrą okazją są na pewno obchody 300. rocznicy jego urodzin. A pewnie jeszcze lepszą, nie chcąc zupełnie bagatelizować sprawy, najbliższe dni, kiedy to obdarzeni zostaniemy wieloma, wieloma uroczymi sercami.